Owczarki alzackie sędziego

Pan Stelian dowiedział się, że sędzia zbiera przeciwko niemu dowody. Pewnego popołudnia złożył mu więc krótką wizytę. Psy sędziego, stworzenia w sumie łagodne, przegnały go aż do furtki. Zwykle nikogo nie gryzły, ale skakały na intruza i tarzały po ziemi, póki sędzia ich nie zawołał. Stelian nic nie powiedział. Choć miał swoje lata, potrafił jeszcze dość szybko biegać. Kilka nocy później ktoś zastrzelił oba alzatczyki z broni myśliwskiej i powiesił je na płocie. „Co za strata dla sędziego!" – skomentował Stelian: sam był posiadaczem pistoletu i papiery miał w porządku. Nie trzymał w domu strzelby myśliwskiej. Sędzia własnoręcznie zakopał psy w tylnej części podwórka. Były u niego od małego, wytresował je i wychodząc z nimi na spacer, trzymał zawsze na smyczy. Kiedy ludzie w mieście dowiedzieli się, że Jac i Rex zostały zamordowane, oburzyło się nawet kilku przyjaciół Steliana. „Dziś załatwiamy psy, a jutro ich właściciela!", powiedział kuśnierz Mardare. Nie chciało mu się wierzyć, żeby Stelian miał cokolwiek wspólnego z tą nocną operacją. Jego hipoteza była taka, że wieśniak, który był właścicielem knajpy na dworcu, zapłacił komuś, aby skompromitować tak ważnego dla miasta człowieka. Argumentował, że zanim do Medgidii przybył nowy restaurator, nigdy nie słyszano tu o wieszaniu psów na płotach. Po dwóch dniach jego sklep ze skórami ot, tak sobie, spłonął. Również nocą. Policjant Pomenea właśnie przechodził tamtędy w trakcie patrolu, ale jeszcze zanim otworzył usta, żeby coś powiedzieć, Mardare wrzeszczał, że sklep spalił mu Stefanek Theodorescu! Lokal znajdował się blisko dworca. Stefanek przyszedł zobaczyć, co się stało. Kiedy Mardare go ujrzał, doskoczył do niego: „Przyszedłeś się cieszyć! Zabiję cię własnymi rękami!". Stało tam jeszcze kilku skorych do pomocy, którzy otoczyli Stefanka i zaczęli okładać go pięściami. Pomenea

strzelił w powietrze, żeby ich rozgonić, ale to jeszcze bardziej rozzłościło Mardarego: „Chcesz nas zastrzelić, co?”. Rozjuszony, złapał Stefanka za szyję i zaczął go dusić. Policjant, człowiek poczciwy, wkroczył z laską między obu walczących i ze spokojem rozdzielał razy w potylicę, żeby ich nieco ostudzić, kuśnierza zaś strzelił w brodę tak, że ten aż zemdlał. Sklep Mardarego płonął silnym ogniem, jak gdyby woda z sikawek strażaków, zamiast gasić, jeszcze go wzmagała. Otumaniony ciosami, Stefanek schylił się, aby podnieść kuśnierza, ale kelner Januszek, który przyszedł po niego pchany niejasnym przeczuciem pani Virginiki („Idź, Januszku, i zobacz, co ten człowiek wyrabia!”), złapał go za rękę i wrzeszcząc: „Przynieść wodęęę!”, wyciągnął z pola bitwy.

Tej samej nocy wybito kamieniami okna restauracji. Pani Virginica poszła z płaczem do żony zawiadowcy, żeby ta zawołała żandarmów z Konstancy, choćby nie wiem co! Stefanek wypił łyk kawy i kubek wina, chcąc trochę przyjść do siebie po walce, i zawezwał dorożkarza na peron. Potem pojechał po szklarza Vasilego, który mieszkał na końcu miasta przy kuźni. Kiedy zaspany Vasile usłyszał, ile pieniędzy dostanie za sześć okien, wciągnął prędko spodnie na koszulę nocną i wsiadł do dorożki z podniesioną budą, zabierając szkło, gwoździki i kit. Rano pasażerowie pierwszego pociągu mogli zobaczyć okna restauracji na swoim miejscu, a Stefanek z kelnerami, niewyspani, patrolowali peron z kijami w rękach. Od strony warsztatu kuśnierza Mardarego wiatr przywiewał smród spalonych skór i futer. Policjantowi Pomenei, człowiekowi poczciwemu, udało się do rana przekonać pogorzelca, że czterej osobnicy łażący z butelkami z benzyną, którzy wybili mu szyby, a następnie wrzucili podpalone butelki, byli sklepowymi pomagierami jego przyjaciela Steliana.